

Dynie.

Pewnego dnia Wiciu przyniósł dobrą nowinę, a brzmiała ona nie mniej, nie więcej tylko: "ale wielkie dynie widziałem w ogrodzie koło jeziora - prawdziwe kolosy!" Tak powiedział, a my rozochoceni jego opowieściami udaliśmy się na mały rekonesans. Rzeczywiście nie przesadzał. Były dwie i były ogromne. Ta mniejsza już robiła wrażenie, ale w porównaniu do tej drugiej wypadła mizernie - jak Juju w konfrontacji ze swoimi rodzicami i to wziętymi do kupy. Była taka duża, że nie sposób było ją podnieść, o kradzieży nie wspominając. Ustaliliśmy plan "epy" i kiedy nadszedł zmrok dynie przy pomocy taczki przetransportowaliśmy do piwnicy Wicia. Tam zdecydowaliśmy, rozważając wszelkie opcje, włącznie z konsumpcją, co z nimi zrobić. Na następny dzień przenieśliśmy, a właściwie przeturlaliśmy je w kilka osób na czwarte piętro kolejowego bloku. Tam robiąc coś w rodzaju hamaku, wciągnęliśmy na dach, po czym, ot tak zupełnie po prostu zrzuciliśmy na dół. Jedna po drugiej, rozprysły się na tysiące kawałków oblepiając wszystko dookoła dyniową breją. Pomarańczowy miąższ i pestki pokryły najbliższą okolicę, a przede wszystkim samochody. Byliśmy bardzo z siebie dumni.

Chomik.

Wiciu miał chomika, a żywot jego był równie tragiczny jak śmierć. Nie dane mu było wieść byt spokojny, jak inne chomiki, które siedzą w akwariach i tyją nic nie robiąc. Ten, co by o nim nie mówić, na pewno się nie nudził. Myślę nawet, że niejeden człowiek, dożywając wcale sędziwego wieku, nie przeżył tyle co Maciuś (bo tak miał na imię) przez niespełna rok. Maciuś jeździł zdalnie sterowanym samochodem. Maciuś skakał na spadochronie, sporządzonym z chusteczki do nosa, z drugiego piętra. Maciuś pływał na tratwie ratunkowej, kiedy wezbrała po deszczach woda w rowie melioracyjnym. Maciuś znajdował wyjście z labiryntu, wchodząc przez nogawkę od spodni, a wychodząc rękawem, pokładającego się ze śmiechu właściciela. Maciuś latał na lotni, a właściwie latawcu, znając całą, naszą okolicę z lotu ptaka... no niech będzie chomika. Myślę, że gdyby zobaczył inne chomiki, które bezsensownie biegają w kołowrotkach, uśmiełby się po pachy. W swoim akwarium spędzał tylko noc, a i nie zawsze. Za dnia biegał, skakał, jeździł, latał, pływał, a Wiciu co rusz wymyślał Maciusiowi inne wyzwania, które wzbogacały go o następne, życiowe doświadczenia. Fakt faktem - kiedy skonany, po całym dniu lotów i skoków, kładł się w swoim trocinowym łóżeczku, nie lubił aby mu przeszkadzać i potrafił boleśnie "kąsnąć" swoimi małutkimi ząbkami. Ale już skoro świt, gotów był na kolejne przygody. Prężąc się i wyciągając ufnie czekał na zbawczą dłoń, która zabierała go w nieznane.

Razu pewnego pojechaliśmy z Wiciem, a jakże by inaczej... na ryby. Pogoda była rewelacyjna i już od samego rana zapowiadał się upał. Grubo przed południem łowienie straciło sens. Raz, że ryby, chyba straciły apetyt na nasze, z takim trudem zdobywane przynęty, a dwa, że odgłosy dochodzące z kąpieliska, po drugiej stronie jeziora, nęciły nas bardziej niż perspektywa złapania, wymarzonej, medalowej sztuki. O tak, trzykilowy lechu, jak nazywaliśmy leszcze, dałby nam szansę awansu wśród kolejowej wędkarskiej braci. Jednak wtedy ulegliśmy, a perspektywa kąpeli oraz zdjęcia gumowców zwyciężyła. Poszliśmy na kąpielisko. Nie powiem, godzinny spacer, z całym ekwipunkiem, w czarnych, długich, gumowych butach, w pełnym słońcu wykończył nas zupełnie, a stopy, po zdjęciu obuwia ze Stomilu, parowały jak dopiero co wyjęte ciasto z piekarnika. Jednak przyjemna kąpiel zregenerowała nas i przyniosła ukojenie. Zabawiliśmy więc nad wodą troszeczkę dłużej; popłażowaliśmy, wygrzewając nasze chude, młode i blade ciała, Wiciu jak zwykle uczył mnie pływać, zrzucając z pomostu na głębię oraz co chwila podtapiając i wczesnym popołudniem udaliśmy się na stację kolejową, na pociąg powrotny. Kiedy byliśmy pod domem Wiciu zerknął na swoje okno.

- O Jezu! Maciuś był cały dzień wystawiony na parapecie! Zupełnie o nim zapomniałem! - przypomniało

się Wiciowi, a okna miał od strony południowej. Pobiegliśmy czym prędzej po schodach na drugie piętro. Maciuś leżał na grzbiecie wysuszony na wiór, był suchy i sztywny jak sucharek. Nie miał w akwarium nic do picia, bo jadał w terenie, a szkło zadziało jak soczewka, potęgując gorąc wewnątrz. Zginął w mękach. Zrobiliśmy dla niego z drewnianego piórnika małą trumienkę, a z dwóch patyczków mały krzyżyk na których umieściliśmy tekturkę z napisem: "Żył krótko ale treściwie". Pogrzebaliśmy pod drzewem, niedaleko drzewa, gdzie Wiciu kazał mi zakopać pięć złotych, przekonując, że nastąpi cudowne rozmnożenie.

Kicia i Dydek.

Był starszy o kilka lat i miał już problemy z prawem. Razem z Dydkiem stanowili nieodłączną parę. Rządził w terenie. Kiedy go zauważaliśmy "dariliśmy zelowy" tak szybko jak tylko się dało, czasami jednak bezskutecznie. Właściwie, to nawet nie musiał za nami ganiać, wystarczyło, że zauważył i wrzasnął, a my już stawaliśmy ze strachu jak zahipnotyzowani. W nagrodę mieliśmy wtedy wojsko, a generałem był Kicia; na komendę padaliśmy i powstawaliśmy, czołgaliśmy się i robiliśmy przysiady. Na dodatek musieliśmy za to wszystko płacić, wywalając kieszenie na wierzch i oddając swój ostatni grosz. Kiedyś wyszedłem na podwórko z nowo zakupionym, nowiusieńkim łukiem. Nie nacieszyłem się nim za długo - został skonfiskowany przez Dydkę i Kicię, by chwilę później pęknąć z wielkim hukiem nie wytrzymując naciągu. Pamiętam, że nie mogłem przeżyć tej jawnej niesprawiedliwości, a w domu czekały mnie jeszcze wymyślania mamy.

Kiedy my biegaliśmy z drewnianymi pistoletami bawiąc się w wojnę, oni już podmacywali proste dziewczuchy w specjalnie do tego celu wykopanej ziemiance. Kiedy my łąziliśmy po drzewach owocowych, oni już het wysoko, w koronach najwyższych klonów i kasztanów, zbijali z podprowadzonych desek swoje domki, bijąc rekordy wysokości i patrząc na dwupiętrowe bloki z góry. Kiedy nas z kawałkami gumowych węży, ganiłi stróże i właściciele sadów, oni uciekali już przed dzielnicowym. Słowem, zawsze byli o ten jeden krok do przodu, nie wiem tylko czy w dobrą stronę?

W miarę upływu lat, nasze drogi nie krzyżowały się już tak często. Widywaliśmy ich z rzadka, razem lub osobno. Któregoś lata pojechaliśmy nad jezioro i to o dziwo nie na ryby, tylko w celach wyłącznie rekreacyjnych. Siedzieli przy samym brzegu z jakimiś dziewczynami popijając piwko. Nie zwracali na nas zupełnie uwagi. My jednak przezornie mieliśmy na nich oko, nauczeni latami poniżeń. Na płytkiej wodzie była dość wysoka zjeżdżalnia dla dzieci. Miała może ze dwa metry wysokości. Kicia wgramolił się na nią, zachęcany przez Dydkę i dziewczyny. Wszedł nawet na bariery i wykonał skok na główkę do wody o głębokości metra. Po chwili zaczęli nadbiegać zewsząd ludzie. Został wyniesiony z wody, widać było, że stało się z nim coś niedobrego. Pobiegliśmy tam. Leżał na brzegu dziwnie dygocząc, ktoś podłożył mu koc po głowę, ktoś innym przykrył. Poprosił jeszcze Dydkę, żeby mu włożył papierosa w usta. Machnął się ze trzy razy i umarł. Ot tak, po prostu.

W moim rodzinnym domu do teraz, za drzwiami, stoi ten nieszczęsny, złamany łuk. Jest oklejony plastrem sprzed trzydziestu lat. Mama używa go do poprawiania firan. Patrząc, na niego myślę sobie, że łuk i kręgosłup nie nadają się do sklejanja.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.